

Poza pokoleniem

Rozmowa z Agnieszką Lipiec-Wróblewską, reżyserem teatralnym

● Zainteresowała się Pani „Dawnymi czasami” Harolda Pintera, choć ta sztuka niektórym może wydać się anachroniczna...

„Dawne czasy” Harolda Pintera to była propozycja Jerzego Grzegorzewskiego. Decyzję podjęłam szybko. Pomogła mi sprawa obsady, również zasugerowana przez dyrektora Teatru Narodowego. Widzę ogromną wartość w tym tekście. To jest tekst psychologiczny, ale fabuła nie jest prowadzona w sposób linearny. Pewne fragmenty można grać dochodząc do wielkich napięć emocjonalnych po to, żeby je za sekundę unieważnić. „Dawne czasy” można potraktować jako rodzaj gry psychologicznej. Wtedy traci on ten nieaktualny ciężar klasycznej sztuki psychologicznej. Nabiera lekkości. W filmach Lyncha czy Almodovara, chcąc coś przekazać, ludzie nakładają maski, aranżują sytuacje psychologicznie nieprawdziwe po to, aby dotrzeć do jakiegoś stanu, wyjaśnić relacje między sobą i za sekundę z nich zrezygnować.

Kieruje się więc Pani w stronę intelektu?

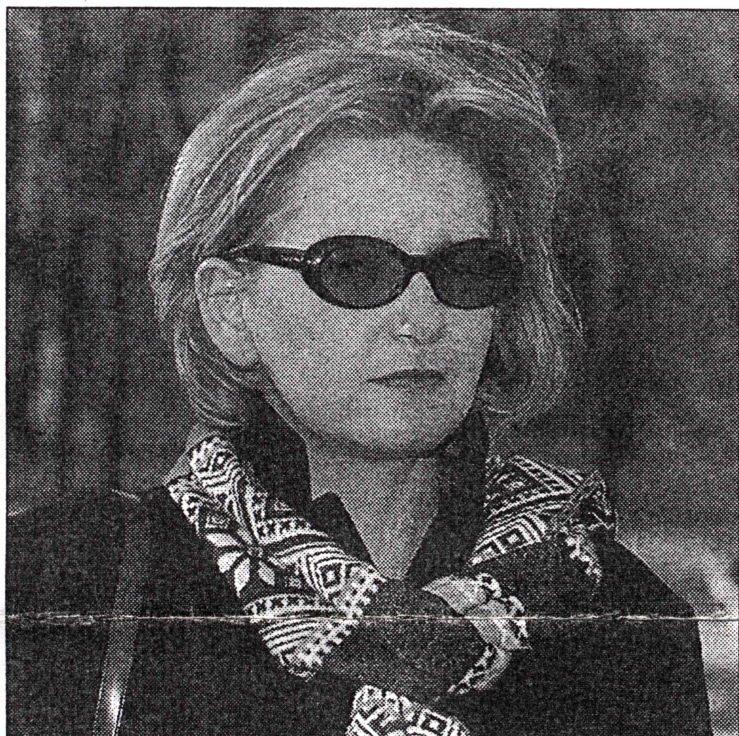
Konwencje w ludzkich zachowaniach już dawno się skończyły — nie tylko w sztuce, ale i w życiu. Dziś mamy do czynienia z ogromną rozpiętością: od dystansu emocjonalnego aż do uczuciowego kiczu. Aktorzy sami muszą ograniczyć swe emocje na scenie, a jednocześnie przetrwać nie się porozumiewać.

Na studiach była Pani asystentką Jerzego Grzegorzewskiego. Czy fakt, że to on w latach 80. reżyserował „Dawne czasy” w Teatrze Studio, miał dla Pani znaczenie?

Widziałam to przedstawienie jako nastolatka. niewiele pamiętam poza kilkoma obrazami: scena przedłużona do połowy widowni, trzy znajdujące się na tej scenie postacie i fakt, że mimo wielu komplikacji zawartych w tekście, wszystko było dla mnie jasne. Taki cud teatralny. To, że mam w pamięci tych kilka obrazów, nie stanowiło jednak bariery, która by mnie nieśmiała. Lęk był, ale wynikał z czego innego: Uważam, że im mniej aktorów, tym większy stopień trudności. Problemy wynikały również z tekstu, fascynującego, ale trudnego.

Pracuje Pani zawsze z osobowościami aktorskimi. Tak jest i tym razem. W jakim stopniu Gabriela Kownacka, Grażyna Szapołowska i Jerzy Radziwiłowicz pomogli Pani w rozwiązaniu rebusów psychologicznych Pintera?

Miałam wrażenie, że już po kilku próbach czytanych wiedzieli, jak mają



Agnieszka Lipiec-Wróblewska: — Nie umiem myśleć w kategoriach pokoleniowych

podejść do partnerów i co zachować dla siebie. To, że są indywidualnościami, tylko pomogło. Nie mogli budować zależności między bohaterami na prostych zasadach. Ta sztuka nie daje takich szans. Jest tak migotliwa, tak zmienna, to wymaga dojrzałości, genialnego instrumentarium aktorskiego.

Co jest dla Pani najważniejsze przy realizacji przedstawienia? Może pokora wobec tekstu?

To zależy, czy pracuję nad realizacją telewizyjną, czy w teatrze. Czytając opowiadanie „Portret wenecki” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, najpierw widziałam wyraźnie bohaterów, potem zastanawiałam się nad przestrzenią. Odwrotnie jest w teatrze — tam najpierw muszę zobaczyć przestrzeń. I dopiero z niej zaczynają się rodzić pomysły. Jednak w teatrze ważna jest dla mnie przede wszystkim praca z aktorami, oni tworzą często całą formę spektaklu. Tak było w „Tamie” Conora McPhersona w Teatrze Studio, „Bilardzie Petersburskim” Dostojewskiego na tej samej scenie. Wychodzę od aktora. Dla mnie najważniejsi są ludzie.

Jak się Pani czuje jako najmłodsza reżyserka Teatru Narodowego? Dyrektor Jerzy Grzegorzewski twierdził, że sceny Narodowego nie będą należały do młodych reżyserów. To chyba wyróżnienie.

Ostatnią rzeczą, nad którą bym się zastanawiała to to, czy jestem najmłodsza czy nie. Przyjęłam propozycję — zadanie było tak karkołomne, że nie myślałam, że to jest Teatr Narodowy ani o tym, że jestem najmłodsza. Wiedziałam, że to jest Scena przy Wierzbowej, gdzie często bywam, że jest trójka aktorów oraz tekst. Mówiąc szczerze, reszta nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

Mówi się dużo o zmianie pokoleniowej w teatrze, o grupie młodych zdolnych reżyserów. Jak odnajduje się Pani na ich tle?

Nie chcę się od nich odcinać, nie umiem jednak myśleć w kategoriach pokoleniowych. Wiem, że te konfiguracje najlepszych młodych reżyserów zmieniają się, że permanentnie w łaskach jest Jarzyna, niezmiennie dołączają do niego Brzoza, Warlikowski, nagle odpada na ostatnim wirażu Cieplak, przegania go Agnieszka Glińska, ale po chwili Cieplak wchodzi znowu nieoczekiwanie na pierwszą pozycję. Mnie to kompletnie nie interesuje. Skupiam się na relacjach z aktorami, z którymi pracuję, na opiece nad spektaklami, które robiłam, na pracy nad adaptacjami i scenariuszami. Nie oceniam przedstawień na podstawie tego, kto je robił, interesuje mnie tylko, czy są dobre, czy złe.

ROZMAWIAŁA JOANNA ROLIŃSKA